

BÉLA
HAMVAS
*Godzina
owoców*

Tłumaczyła i opatrzyła przypisami
Teresa Worowska

Warszawa 2024

MONOLOG APOKALIPTYCZNY

1.

Chciałbym w możliwie najwyższym stopniu wzmóc swoją czujność i nigdy jej nie stracić, bym umierając, mógł przeżyć w całej wspaniałości chwilę osiągnięcia pełni przez moją duszę.

Dawniej każdego roku przynajmniej raz musiałem gdzieś wyjechać choćby na kilka tygodni. Zestrajając z pewnym wysiłkiem okoliczności zewnętrzne, udawało mi się w takich razach osiągnąć na pewien czas grecki spokój; na jego powierzchni lśniła przeraźliwa pogoda ducha, której nie przebijał kłębiący się pod nią wulkaniczny huk. Tylko wtedy wiedziałem, gdzie jestem i co robię. Nie sposób się przyzwyczaić do życia. Z niechęcią i zdumieniem odnoszę się do wszystkich, którzy nawet w dzieciństwie nie czuli, że do życia nie można się przyzwyczaić, tak samo jak nie można przyzwyczaić się do wina, do kobiet czy do Boga. Nie sięgałem po narkotyki. Musiałem więc żyć z taką pasją, z jaką powinno się kochać nagą boginię. Jeśli zaś nie byłem dość ostrożny wobec nadchodzących z zewnątrz stanów ekstazy, groziło mi niebezpieczeństwo utraty tchu, tylko taki ogień, przez który nie sposób przejść bez ciężkich poparzeń.

Iluzję, że żyję w świecie ogrodzonym bezpiecznymi granicami, dawno pożegnałem. Rzeczywistość jest magiczna i na najmniejszy przejaw woli człowieka poddaje się natychmiast. Czy to nie straszne, że spełniają się wszystkie nasze życzenia? Byłem na środku oceanu. I moja idiotyczna nadzieja, że śmierć jest unicestwieniem, znikła.

Przez wiele lat nie miałem warunków, by osiągnąć uspokojenie. Nie sposób było zrobić bilansu. Trzeba było pędzić, pędzić, jak się zdawało, do wycieńczenia.

Ten czas teraz wreszcie nadszedł. Przybył w szczególnej postaci: jako umiarkowane, chłodne niczym woda źródłana zainteresowanie, pozbawiona osobistego zaangażowania kronikarska ciekawość, kim też byli moi poprzednicy w tym życiu. Widziałem ich jako przodków i ojców, spełnione inkarnacje, postaci mnie samego zmarłe przed czasem, obcych, wobec których nie miałem już ufności.

Siedem lat upłynęło w atmosferze nieustannej śmierci. Przeszły nade mną te lata z taką grozą, że w przerażeniu przeżywałem wieki w ciągu tygodni i miliony lat w ciągu roku. W końcu nastąpiło załamanie.

Ale śmierć nie sięgnęła po mnie i dlatego tu jestem. Od tej pory z całą świadomością obserwuję obcość życia, do którego nie sposób przywyknąć. Stałem się jeszcze bardziej beztroski, bo trafiłem w czasy, których w ogóle nie postrzegałem jako swoje. One już mi się właściwie nie należały. Ot, tylko tu były jak podane po obiedzie, nieobecne w karcie dodatkowe danie. A już zupełnie nie traktuję ich jako czegoś, co mi się należy, jak robiłem dawniej, gdy miałem wymagania i stawiałem żądania. Od tego czasu ani na chwilę nie zanikło we mnie poczucie magicznej natury

życia, tego *miraculum*. Życie nie jest zrozumiałe samo przez się. Jest tak dlatego, że, jak dawniej mówiono, właściwa jest mu nie naturalność, tylko czary. Życ to znaczy trwać w ekstazie, być wstrząśniętym, poruszonym, wyrwanym z korzeniami, męczyć się i szaleć z zaskoczenia, ze zdumienia, z bólu i z osłupienia, z grozy i radości, z ufności i oszołomienia, z cierpienia i zachwytu. Nie ma nic bardziej nienaturalnego od życia. Życie jest łaską. Przekonałem się o tym teraz, kiedy rzeczywiście się nią stało. Jestem tu dzięki miłosierdziu, to niemal przypadek i zjawisko nigdy niedające się zrozumieć.

Teraz okoliczności uprościły się właściwie same. Nie musiałem ich na siłę zestrajać. Stały się proste jak los świętego albo szaleńca, który wybiera życie żebracze. Straciłem cały swój doczesny dobytek, a było tego tak wiele, że nawet nie warto myśleć o odzyskaniu czegokolwiek. Zrezygnowałem z tego. Egzystencja sannjasina pozwoliła mi wreszcie odetchnąć pełną pierśią. Już nic mi nie przeszkadza w tym, bym razem z moją boginią żył w takiej miłości, w jakiej tylko potrafię. Doszło do tego niemal niewiarygodnie dobre zdrowie, tym lepsze, im głębsza była ekstaza.

W tym czasie pomyślałem po raz pierwszy o tym, co oznacza, gdy człowiek umrze nieprzygotowany. Znalazłem się w wyjątkowej relacji z moimi zużytymi inkarnacjami. Nie udałoby mi się w nich umrzeć. Najwyżej umarłyby za mnie, pozostawiając mnie w tarapatkach. Teraz sytuacja jest inna. Przejrzałem te dawne postaci na wylot, ale nawet do ostatniej nie mam pełnego zaufania.

Rozżarzony bliskością śmierci stan entuzjazmu – to chciałbym nazywać czujnością. Nie przyklejać się do

niczego, co nieistotne i zbyteczne, a już szczególnie do niczego, co jest posiadaniem i własnością, cnotą i zasługą, wyższością i znakomitością, okazją i przyczyną pychy i próżności, żadnej niepotrzebnej większej wiedzy i nadymania się, przedwczesnej podstarzałości, żadnych sekretnych magazynów i schowków, ukrytych skarbów, książeczki oszczędnościowej, ubezpieczenia na życie i spiżarni z zapasami. Im człowiek ma więcej, tym jest uboższy. Sannjasin nie ma niczego poza ekstazą. To jest teraz ostatnia twarz. Czy ostatnia? Nie wiem. Ale oznacza stan entuzjazmu, z jakim mogę przestąpić próg i przeżyć w całej wspaniałości chwilę, gdy moja dusza osiągnie pełnię.

2.

Z ostatniej inkarnacji wyszedłem osmalony bliskością unicestwienia.

Czym innym jest umrzeć, a czym innym – zostać unicestwionym. Czym innym spaść w nicość w nic nierozumiejącym oszołomieniu, a czym innym świadomie przekroczyć granicę. Jasność śmierci przenika najgłębsze warstwy istnienia. O ile mi wiadomo, nikomu się nie udało umrzeć tak triumfalnie. I przy moich obecnych umiejętnościach daremne byłoby mieć na to nadzieję. Ale pragnę przeżyć tę wielką jasność, nie chciałbym umrzeć ani nieprzygotowany, ani przez przypadek. Dojrzeć. *Ripeness is all*¹⁴, mówi Szekspir, najwięcej, co można osiągnąć, to stać się dojrzałym. Być miękkim i łagodnym, kruchym i podatnym, nie

¹⁴ „Dojrzałość wszystkim jest”. William Shakespeare, *Król Lear*, akt v, scena II. Tłum. Maciej Słomczyński. W: W. Shakespeare, *Dzieła wszystkie*, t. VI. Kraków, Zielona Sowa, 2004, s. 247.

uciekać, tylko wyjść naprzeciw temu, czemu i tak trzeba się poddać. Uważać, żeby się nie zagubić, nie przestraszyć, nie posypać w drugą stronę jak ci, którzy w chwili przejścia upuszczają swoje życie, a ono toczy się z powrotem jak bela materiału, więc umierając, w ciągu jednej chwili przeżywają je całe w odwrotnym kierunku.

To egzamin, z którym człowiek spotyka się we śnie. Pomiędzy niezliczoną ilością bezsensów nowoczesnej psychologii jednym z największych jest ten traktujący sen o egzaminie jako sen erotyczny. Jaki sens może mieć w erotyce to, że człowiek się nie przygotował? Jaki sens ma to, że nie zna odpowiedzi? Że oblewa egzamin? Strach przed impotencją? Akt erotyczny nie jest egzaminem najzwyczajniej dlatego, że jego zasadą jest nie przymus, tylko wolność.

Księżi umarłych, jakie spisali nasi przodkowie, wiedziały, o czym mowa. W Egipcie uczono, że na *restau*, czyli na progu, człowiek zdaje egzamin, musi odpowiadać na niezwykłe pytania, umieć w jednej chwili rozwiązywać rebusy, nazywać *ex tempore* nigdy niewidziane istoty, rozpoznawać znajomych pojawiających się w przebraniu, odnajdywać właściwy kierunek na dziwnych bezdrożach, nie zagubić się w labiryncie, wypowiadać magiczne formuły i zaklęcia. Sen wie, że człowiek zdaje egzamin wtedy, gdy przekracza próg. Tu ma uzasadnienie okoliczność, że ktoś może być nieprzygotowany, nie nauczył się lekcji, nie umie odpowiedzieć. I tu, owszem, naprawdę ma sens to, że człowiek oblewa egzamin albo go zdaje, przechodzi do następnej klasy, musi powtarzać poprzednią albo otrzymuje maturę. *Ripeness is all.*

Jedynym sposobem przygotowania się jest wzmaganie czujności i ćwiczenie się w tym, by nigdy jej nie

stracić. Nasi przodkowie nazywali to filozofią i uważali, że zajmowanie się nią jest przygotowaniem do śmierci.

W chwili śmierci życie człowieka na bardzo krótki czas naraz całkowicie się wypełnia. Można by to sobie wyobrazić tak, jakby każdy kęs chleba, każda kropla mleka, mięso i owoce, ciasto i wino, woda i ryby, jarzyny i zupy, sałata, słonina i ser, które kiedykolwiek spożyłem i wypilem, te setki i tysiące kwintali, tony żywności, beczki napojów naraz zaktualizowały się w mojej istocie, a ja znalazłbym się w takiej przestrzeni, w której całe to jadło, które spożyłem, teraz na chwilę by do mnie powróciło. Ale to nie o pożywienie chodzi, tylko o doświadczenie. W tej minucie pojawi się we mnie przeżyte jeszcze w łonie matki najpierwsze doświadczenie życia, i poczynając od niego aż do samej śmierci wszystkie kolejne intuicje, odczucia, instynkty, pragnienia, życzenia i namiętności, pojawią się wszystkie smaki i zapachy, które kiedykolwiek czułem, poczynając od tego na piersi matki, poprzez te, które poznałem na ustach mojej ukochanej, i te, które wdychałem latem w sosnowym zagajniku, te z czasów wojny, wśród rozkładających się trupów w okopie, pojawią się wszystkie słowa, które słyszałem, wypowiedziałem i czytałem, i będę pamiętał wszystkie książki i wszystkie zdania, jasno i dokładnie, każdą twarz, którą widziałem, pojawią się wszystkie kobiety, których zapragnąłem, ujrzę mewy nad morską wodą, zbombardowane miasto i martwych żołnierzy, i usłyszę koncert a-moll Schumanna, i szmer kropli deszczu spadających na tafelę wody, wycie syren i szept południowego wiatru nocą, ujrzę Wenecję i Paryż, Ogród Botaniczny letniego popołudnia, przeżyję podniecenie z powodu

własnych myśli i pism, chwile strachu i śmiałe sny, wszystko, wszystko w jednej chwili, naraz i w całości. Jasność śmierci przenika najgłębsze warstwy istnienia. W tej chwili nie ma tajemnicy. Wchodzę w takie światło, w którym moje brudne grzechy są tak samo widoczne jak moje kłamstwa, podłe zamiary, niestałe, niespokojne i słabe próby bycia dobrym, i rzeczywiste dobro, to, co było głupotą, i co było mądre, co wielkie i co liche.

Przez ten wielki egzamin generalny duszy przejść zdoła tylko ten, kto wytrzyma okrutną moc jasności. Naprawdę umrzeć może tylko ten, kto się przygotował, wyuczył się lekcji i potrafi odpowiedzieć.

„Widokiem karmił się wspaniałym / Na wszystko, czego dokonałem, / Żeby spojrzenie ogarnęło / Ludzkiego ducha arcydzieło”¹⁵. Osiemdziesięcioletni Goethe mówi te słowa bezpośrednio przed przekroczeniem progu.

3.

Człowiek nie jest myślą, tylko istotą. A istotę poznaję nie wtedy, gdy ją określe, tylko wtedy, gdy znam jej imię.

W generalnym podsumowaniu następującym w chwili śmierci ujrzę pełnię własnego życia, zanim przemieni się ono w coś innego, zapewne doskonalszego. Stanie się tak po to, bym posiadał całość swojej istoty. Bym wiedział, kim jestem. Bym mógł odpowiedzieć, jeśli zostanę zawołany. Wtedy pojawi się moja prawdziwa istota i przypomni mi się moje prawdziwe imię.

¹⁵ Johann Wolfgang Goethe, *Faust*, cz. II, akt V. Tłum. Adam Pomorski. Dz. cyt., s. 474.

4.

W dzieciństwie myślałem, że jestem Zbawicielem. Tak brzmiało moje pierwsze imię. Nie miałem jeszcze trzech lat. Byłem w dość trudnej sytuacji, wiedziałem, że Jezus zbawił świat, więc dzieło jest już dokonane. Gdy miałem trzy lata, moim myśleniem kierował niczym nieograniczony, złożony i poważny zmysł rzeczywistości, jaki później osiągałem już tylko w rzadkich chwilach. Wiedziałem, że nie mogę uczynić nic, co nie miałoby żywotnego znaczenia, i w pewnym sensie miałem za złe Jezusowi, że mnie uprzedził. Ale żywiłem dobre intencje. I nie byłem zazdrosny. Już choćby dlatego, że widziałem – dzieło swoje wykonał dobrze, kto wie, może nawet lepiej, niż zrobiłbym to ja.

Czułem jednocześnie, że jest tu jeszcze coś innego. To wymagało poważnej zadumy, a ja, jak wspomniałem, niczego nie chciałem wówczas maskować. Chodziło mi o to, by pozostawić niezatarty ślad. Dokonać czynu, którego oddziaływanie będzie trwało wiele tysięcy lat, nigdy nie przeminie, wprost nie będzie mogło przeminąć. Dokonać czegoś wielkiego. Wyryć na obliczu świata znak swojej istoty na wieczne czasy. Tym wielkim czynem było dla mnie zbawienie.

Kiedy zastanawiam się, jakie były decydujące doświadczenia mojego życia, widzę, że nie pojmowałem zbawienia jako czystego aktu Jezusowego. Ja pragnąłem wiecznej sławy i panowania. Miałem też w sobie instynkt artystycznej nieśmiertelności. Niezatartego oddziaływania za wszelką cenę. Jak sądzę, ten obraz jest całkiem blisko Boga. Szukałem czynu, który mi to przyniesie. I widziałem tylko ten jeden: być Zbawicielem.

Do Zbawiciela należy nieśmiertelne dzieło, wieczna chwała i panowanie nad światem.

Gdybym jednakowoż na tym poprzestał, byłbym niesprawiedliwy wobec trzyletniego dziecka. Myśl o zbawieniu była inspirowana nie tylko szaleńczą ambicją. Prędko rozpoznałem tę nieustanną i nadaremnią atmosferę wielkiego sprzątanego, która jest tak charakterystyczna dla świata: ciągle sprzątają, a pomimo to nieporządek, kurz i brud są coraz większe, coraz więcej sadzy i robactwa. Było mi żal ludzi. Panowałem nad siłami, które mogły im przyjść z pomocą. Ponieważ nikt tego nie czyni, muszę więc ja. Kiedy później czytałem słowa Jezusa, rozpoznałem w nich własne myśli: Wstąpię do niebios i pociągnę za sobą cały świat. W wieku czternastu lat zostałem przyjęty do Kościoła z następującą dewizą: „Bądź wierny aż do śmierci, a dam ci wieniec życia”.

Po krótkim czasie zadanie to uznałem jednak za zbyt wielkie, choć w głębi duszy nie porzuciłem go. Zrozumiałem, że być Zbawicielem to jednak za dużo. Ale mogę być Janem Chrzcicielem, który idzie przed Zbawicielem i głosi jego przyjście. Nie oznaczało to rezygnacji i odwrotu. Uważałem, że istnieje ludzka wielkość, i ten, kto stoi na jej szczycie, jest Zbawicielem. Jeśli znajdzie się ktoś wystarczająco wielki, by nim być, przyjdzie i będzie nim. Ale jeśli to mu się nie uda, ja zachowuję sobie prawo, by przejąć dzieło. Tymczasem odchodzę na skromniejsze miejsce. Drugim moim imieniem było: Jan Chrzciciel; w pewnym sensie już jako pseudonim.

Gdy miałem cztery lata, chciałem być zakonnikiem. Do dziś widzę pobieloną celę, w której stoi zaledwie kilka mebli, tworząc symfonicznie intensywną

atmosferę samotności. Żyłem tam w brązowym habicie, jeśli dobrze pamiętam, zakratowane okienko celi wychodziło na południową stronę klasztornego ogrodu, po lewej przy ścianie stało łóżko, po prawej szafa i miednica na stojaku, pod oknem zaś stół i krzesło. Podłoga była z jasnego drewna i w celi nie było ani odrobinki kurzu.

Czułem się wolny nie wśród rodzeństwa i podczas zabaw, tylko w tej celi. Żyłem, szukając jej atmosfery.

Ebner powiada, że wychowywanie jest jak dzieło szalonego słonia w składzie porcelany. Kilka ocalałych sztuk zostaje na końcu tylko przypadkiem. A kiedy wychowanie się kończy, człowiek może zacząć sklejać potłuczone kawałki. Ma szanse uporać się z tym do końca życia.

Do mojego składu porcelany wdarło się jakieś mniejsze zwierzę, ale i ono wykonało poważną robotę, szczególnie gdy zacząłem chodzić do szkoły. Od tego czasu aż do pełnoletniości pamiętam swoje imiona jakby przez mgłę. Nie tylko dlatego, że w moim składzie szalała bestia wychowania i z wyjątkiem najcenniejszych sztuk wiele porozbijała i poszczerbiła. Sytuacja zaczęła być przerażająca z tego powodu, że nie miałem najmniejszego zamiaru ani na krok ustąpić i zgodzić się na te cuchnące pomyje, którymi głównie w szkole myto mnie codziennie i w każdej minucie każdej godziny, a które z takim upodobaniem nazywano realiami życia. Spostrzegłem, że wzrastające dziecko zbyt szybko i zbyt łatwo poddaje się temu chrztowi na odwrót. To religia niestetytakijestświat. Postawy nauczęprzyjmowaćrzeczywistość nie przyjąłem ani na chwilę. Nigdy nikomu nie uwierzyłem, że te nieczystości to realia.

5.

Realiami było dla nich niebo ze wszystkimi gwiazdami, które mieli za lunapark kosmicznego szarlatana, ludzkie ciało, które uważali właściwie za fuszerkę, dzieło partacza, kobiece piękno, które ma być tylko przynętą dla drapieżników, miłość, która jest pośmiewiskiem. Za realia uważali obsmarowywanie się nawzajem i opluwanie wszystkiego, co czyste, realiami było, gdy to, co proste, podstępnie ukazywali jako dwuznaczne, gdy powątpiewali w czyjąś uczciwość, gdy mrugali porozumiewawczo na przejaw otwartości serca, gdy plotkowali o namiętnościach, gdy na widok czegoś głębokiego kręcili nosami, gdy wszystko, co poważne, prawdziwe i świetliste obśliniali i lekceważyli, zakłamywali i zanieczyszczali. Wszystko, co było poza tą rzeczywistością, traktowali jak niedojrzałe dziecięce marzenia, tak zwany idealizm. Szlacheckie zepsucie, mieszczańska korupcja i resentment motłochu spotkały się w tym jednym punkcie. Skłonni byli połykać życie jedynie w formie tych pomyj. Tylko nikczemna podłość miała szansę na bycie rzeczywistością, cały plan życia opierał się na oszustwie i przemocy, a chełpliwego, dwulicowego karierowicza uważano za człowieka rozgarniętego.

Współczesne społeczeństwo podtrzymuje ten tak zwany realistyczny pogląd na świat przez instytucję stworzoną właśnie w tym celu. Tą instytucją jest prasa. Świat jako dół z gnojówką, więzienie, burdel i targowisko. Od dzieciństwa wystrzegalem się czytania prasy. W ciągu całego życia kupilem gazetę dwa razy. Raz w 1915, drugi raz w 1940 roku – w obu przypadkach podczas wojny – bo chciałem zdobyć informacje w sprawie wydarzenia nagle dotykającego mnie

z bliska. Nie muszę mówić, że w obu przypadkach informacje były fałszywe.

Wtedy obudziło się we mnie szczególne podejrzenie. Pomyślałem, że być może jednak rzeczywistością jest to, co żyje w dziecku, w artyście i w człowieku znajdującym się w pobliżu Boga. Być może wszyscy ludzie są ofiarami jakiegoś kolosalnego światowego nieporozumienia? Mój sąd umocniło to, że zarówno wśród bliższych, jak i dalszych znajomych nie widziałem nikogo, kto nie znajdowałby się w stanie załamania. W stanie krachu, co znaczyło, że był bankrutem. W krachu, czyli w sytuacji szach-mat. Jak ktoś, kto się już nie liczy i znajduje się poza grą. Wszyscy bez wyjątku. Już wtedy miałem przeczucie, że rzeczywistość ma naturę magiczną, a więc że jest sakralna. Nie ma nic wspólnego z odrażającym, ohydny pośmiewiskiem. Rzeczywistość Beethovena i Homera, Szekspira i Dostojewskiego, Corota i Fidiasza nie jest taka. Ani Jezusa. Pamiętałem, że moja też nie była taka.

Dlatego kiedy po zakończeniu wychowania nastąpiła uroczysta chwila wkroczenia w życie, przejrzałem to draństwo. Wkroczenie w życie oznaczało naturalnie brudne rozkosze, zdradę i ciemne moralne pajacowanie.

Ale wszelkie moje próby autodestrukcji zakończyły się fiaskiem. Stałem się melancholikiem, popadłem w neurastenię. Moja rzeczywistość była zmuszona w ten sposób bronić się przed ich rzeczywistością. Nie potrafiłem dokonać samodegradacji, choć popełniłem w tym czasie wiele ciemnych uczynków. Historię rozwoju melancholików, szaleńców i złoczyńców zrozumiałem dopiero później. Nietzsche uważa złoczyńcę za jedyne niewinnego człowieka w nowoczesnym społeczeństwie, bo tylko on ma jeszcze siłę protestować

przeciw porządkowi życia. W tym czasie moje imię brzmiałoby zapewne: bezdomny włóczęga. Figura rodem z Dostojewskiego. Zrozpaczony i zepsuty młody człowiek. Głęboka depresja była znakiem tego, że się nie poddałem.

Ten bezdomny włóczęga, ten samotny łazik, ten ciemny, podziemny kret już wtedy bardzo dużo wiedział. Znał języki, poznawał naukę, niesłychanie wiele czytał, znał się na ludziach, uczył się zawodów, pracował jako woźnica, czeladnik, pomocnik piekarza i lokaj, skomponował ponad dwieście utworów fortepianowych i miał wiele rękopisów. I wtedy wpadła mu w ręce pewna książka. W tej książce napisano, że chrześcijaństwo nie istnieje. No jasne! W pierwszej chwili dostałem ataku złości. Okłamano mnie! Potem wypełniło mnie poczucie triumfu. Chrześcijaństwo nie istnieje! Wszystkie moje draństwa są usprawiedliwione! A trzyletnie dziecko to potwierdziło. Sam widzisz, że potrzebny jest Zbawiciel.

Ogarnęła mnie wtedy przekraczająca wszelkie miary pasja uczenia się. Psychologia, religie, filozofia, etnografia, głównie ludy pierwotne, nauka o społeczeństwie, historia, sztuki, literatura, pradziej, Wschód, Średniowiecze, języki, muzyka, archeologia. I ten okres znów trwał siedem lat.

6.

Po dziś dzień nie rozumiem swoich pierwszych utworów muzycznych i literackich. Powstały, gdy miałem piętnaście lat, całkowicie same z siebie. W ciągu dwóch lat napisałem blisko dwieście utworów fortepianowych i blisko tysiąc stron tekstów. To była zdumiewająca płodność, ale na niewyobrażalnie niskim poziomie.

Moje utwory nie miały nic wspólnego ani z melancholijnym zakonnikiem, ani z Janem Chrzcicielem, ani ze Zbawicielem, ani z bezdomnym włóczęgą. Bezbarwna nuda i banalna gadanina. Na dodatek przesłodzona, mdląca, oklepane frazesy i nade wszystko obraźliwie przeciętne. Czy miałem jakiś szczególny powód, żeby tak całkowicie pomijać siebie w tej grze? Nie miałem śmiałości siebie w to wpisać? Dlaczego?

Wśród moich młodzieńczych kompozycji najczęściej było koncertów fortepianowych. Ale nie znalazło się w nich nic z tego, czym rzeczywiście żyłem. Przymus twórczy przejawiał się we mnie z elementarną siłą, ale niedotknięty moim życiem, pozostał na poziomie małomiasteczkowej wtórności.

Teraz, gdy zanurkowałem w bibliotekę, stanęła przede mną również ta kwestia. Szukałem najbardziej intensywnych stylów. Ale to, co sam pisałem, pozostawało przykro nieistotne. Uczyć się. Jeszcze więcej się uczyć. Sądziłem, że gdy wypełnię się wiedzą do wrąbka, to się w końcu będzie musiało objawić. Co? No właśnie! Co się miało objawić?

Wszystko, czego się uczyłem, odnosiłem do siebie. Nic nie pozostało zewnętrznym obiektem. Za każdym razem sam byłem podmiotem charakterologicznym, człowiekiem pierwotnym, starożytnym, wschodnim, sanskryckim, chińskim, egipskim, azteckim, hebrajskim, peruwiańskim, greckim, średniowiecznym, piramidą, kabałą, misterium eleuzyjskim, byłem sankhją, kipu i arytmologią. Regiony świata, kraje i epoki wszystkie stały się we mnie *country of the mind*. Zapewne przeżywałem je tak, jakbym w nich żył.

Ten nieludzki wysiłek sprowadził na mnie chorobę. Poza zwykłym przeziębieniem nie miała ona żadnej cielesnej przyczyny. Miałem najcięższe objawy zatrucia. Później orzeczono, że to alergia. Przez tydzień leżałem w czterdziestostopniowej gorączce. Miałem natrętną myśl, że idę w „słusznym” kierunku. Dokładnie tak: w słusznym kierunku. Szedłem w kierunku śmierci. Odwiedził mnie przyjaciel. Spostrzegł, że idę z głową zwróconą w drugą stronę. Krzyknął na mnie w przerażeniu i potrząsnął mną. Rozumiałem, czego chce, ale ciągle byłem przekonany, że idę w słusznym kierunku, w kierunku wyjścia. Już widziałem bramę zaświatów. Wyglądała tak jak na obrazie Bruegla *Nawrócenie Szawła*, a jeszcze bardziej jak *Samotny cedr* Csontváryego. Wtedy zawróciłem. Nigdy w życiu nie zdarzyło mi się nic trudniejszego. Miałem wizję. Czułem, że walczą we mnie dwie istoty. Chwilę później coś się we mnie straszliwie przekręciło i na własne oczy widziałem, jak wyfrunął ze mnie chiński smok. Spojrzał na mnie łakomie i z rozczarowaniem, jak na łup, który musiał porzucić.

Gdybym miał kiedykolwiek znów zachorować, chciałbym przeżyć to samo. To była choroba alchemiczna. Zmagazynowałem w sobie wielką ilość siarki, która się zapaliła i spopieliała wszystko, co było we mnie śmieciem. Lekarz powiedział, że ta choroba przedłużyła mi życie o piętnaście lat.

Podczas sześciu tygodni rekonwalescencji pławiłem się w rozkoszach czystości narodzenia na nowo. Spacerowałem po ogrodzie z moimi psami. Życie, które już prawie mnie nudziło, znów stało się *miraculum*. Znów w każdej chwili potrafiłem zadrzeć. To była moja czwarta inkarnacja.